



WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca HIPOLIT ORGELBRAND.

Expedycja główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartal: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 77. W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52. W W. Ks. Poznańskim: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

NIEMIASY W XIV WIEKU.

Ustęp z dziejów obyczajów średniowiecznych.

przez **Wł. Chomętowskiego.**

I.

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 12).

Skoro Karol de Blois uwolnił się z więzienia, syn Joanny, Jan Monfort, doszedł do pełnoletności i wystąpił w obronie swego prawa. Odtąd też nie spotykamy się już z imieniem Joanny. Ale czynną jest zawsze żona Karola. Pobudzony przez nią mąż i wsparty pomocą Francyi 1364 roku, podjął chorągiew wojny przeciwko Janowi.

Przy boku ks. Karola znajdował się w ówczesnym znakomity rycerz Bertram du Guesclin. W obecności jego i rycerzy bretońskich, księżna de Blois, zakłęła męża w tych słowach:

„Idziesz do walki panie, w obronie twego i mojego dziedzictwa, które Jan Monfort chce nam

wydrzeć niesłusznie. Wzywam na świadectwo Boga i tych panów bretońskich, jako prawą jestem dziedziczką. Błagam cię więc najgoręcej, ażebyś nie czynił żadnych ustępstw i nie wchodził w układy, z ujmą naszych praw dziedzicznych do księstwa Bretanii.“

Mąż przyrzekł, że zadość uczyni jej żądaniu. W bitwie pod Auray rozstrzygnął się los współzawodników. Waleczono z obudwu stron z nad-

zwyczajną zawziętością. Karol de Blois przyrzekł zwyciężyć lub umrzeć, więc poległ na placu bitwy, gdzie położył również głowy kwiat bretońskiego rycerstwa. Waleczące strony, za pośrednictwem króla francuzkiego, zawarły przymierze w d. 11 Marca 1365 r. Przyznano Janowi Monfortowi tytuł dziedziczny księcia Bretanii, za co zobowiązał się nawzajem, że złoży hołd królowi francuzkiemu i odda w wieczyste posiadanie żo-

nie Karola de Blois hrabstwo Penthièvre. Na mocy tegoż układu, w razie bezpotomności Jana, dziedzictwo Bretanii miało przejść w spadku na dzieci księcia Karola.

Tak zakończyła się przeszło czterdziestoletnia walka, prowadzona pod godłami dwóch niewiast z rodziny de Monfort i de Blois.

Przypatrzmy się innym rysom niewiasty XIV wieku.

Wiadomo, że w ogóle wieki średnie odznaczają się wielką prostotą, ale zarazem wielką swawolą w obyczaju. Kronikarze i poeci malują przeważnie owocne stosunki w nader zmysło-

RYSUNKI JANA MATEJKI.



wych barwach. Nie brak atoli tutaj światła obok cienia. Ideal miłości jak ideal piękna, przyswiecał tym ludziom pochopnym do swawoli, ale i zdolnym nieraz do wzniosłych czynów bohaterstwa i poświęcenia. Miłość idealna Dantego i Petrarki nie ma nic wspólnego z plastycznymi opowieściami Bokkacyusza. Często rozłączone serca zawisną i pychę, kojarzyła miłość węzłem przymierza. Najkrwawsze urazy składano w obliczu młodej pary stojącej u stopni ołtarza. Kościół uwzględniał te stosunki i wydawał dyspensę nawet w blizkich stopniach pokrewieństwa, skoro połączenie ślubnym węzłem miało być rekojmnią pokoju. Świadczą o tém liczne dokumenta, w których papież dają dyspensę z uwagi, że projektowany związek w rodzinach położy tamę gwałtom i przelaniu krwi bratniej. (Theinera Monumenta t. I w wielu miejscach).

Zauważymy tu, że w każdej epoce dziejów, uczucia ludzkie właściwą pojęciem i stosunkom społecznym przybierają formę. Owoż w okresie, o którym piszemy, między innymi, nabycie tytułu i sławy kochanka stało się niemal koniecznym warunkiem dla każdego prawego rycerza. Była to moda w najrozleglejszym znaczeniu słowa, którą wyznawano niewolniczo w całej zachodniej Europie. Poeci przedstawiali od czasu do czasu wzory bezinteresownej idealnej miłości. Jeden z najdawniejszych trubadurów francuzkich, Hugo Brunet, ubolewa nad niecierpliwością współczesnych mu kochanków, którzy bez długich starań, za jednim oświadczeniem, wymagają zupełnego poddania się wybranej piękności, kiedy dawniej dobijali się przez długie lata o łaskę damy i zadawali się najłżejszymi oznakami wzajemności, jak np. podarunkiem pierścienka lub rękawiczki.

Zagrzeni opowieściami poetów, rycerze przesadzali się częstokroć w wyrażeniach swych romantycznych sentymentów. Był to wiek, w którym goniono za oryginalnością, za odznaczeniem się w walce, w miłości, słowem w rycerskich sprawach. Turnieje więc, które były polem popisu, stały się namiętnością i modą owoczesnego świata.

Napróżno zabraniał kościół odprawiania turniejowych igrzysk, gdy tak gorąco upragniona sława rycerza i kochanka miała być nagrodą zręcznego szermierza.

Turniejowe zabawy zawitały dopiero do Polski w drugiej połowie XIII w. Wprowadził je znany z niepomiernych szaleństw Bolesław zwany Rogatko, książę ligniecki. Według świadectwa kronikarza henrykowskiego klasztoru, przed panowaniem tego księcia, turnieje nie były weale na Szlązku. Przyjacieli Niemców, przesiąknęli na wskroś niemieckim obyczajem, książę ligniecki słynny z dziwactw i rozbojów, był namiętnym miłośnikiem turniejów. Zdarzyło się pewnego razu, że zachciało mu się odprawić turnieje w obchodzony uroczystości dzień S-go Mateusza. Przeor henrykowskiego klasztoru, dowiedziawszy się o postanowieniu księcia, namówił rycerzy, aby oparli się temu żądaniu, jeżeli za złamanie przepisów kościoła nie uczyni Bolesław jakiej ofiary miłej Bogu. Szalenie ten poważał Alberta Brodatego, jednego z największych wpływowych i najrozumiejszych rycerzy. Więc Albert w licznej gronie rycerstwa stanął przed księciem, zatém oświadczył, że na mocy jednomyślniej uchwały, żaden z rycerzy w dniu oznaczonym nie wystąpi w szranki, jeżeli książę nie uczyni jakiego na chwałę bożą zapisu.

Rogatko przyjął dobrze to oświadczenie, zatém Albert poszepnął rycerzom, aby prosili o zapis włóści Janowa na rzecz henrykowskiego kla-

sztoru. Wtedy wystąpił jeden i rzekł w imieniu wszystkich przytomnych: Jeżeli darujesz panie klasztorowi wioskę, o której wspomniał twój rycerz a nasz przyjaciel Albert, wyprawimy natychmiast turnieje. Na to podniósł rękę Rogatko i rzekł: Uczynię ten zapis dla henrykowskiego klasztoru, gwoli prośbie Alberta i na chwałę Bogu. (Liber fundationis claustrum in Heinrichow 32—33).

Tak więc zaprowadzone turnieje najprzód na Szlązku upowszechniły się na dworach polskich książąt dopiero w XIV wieku, to jest od czasu, w którym rycerskie obyczaje Zachodu zaczęły oddziaływać najsilniej na społeczeństwo nasze. Pomimo to, za wyjątkiem niektórych książąt, jak np. wspomnianego Rogatki lub Władysława Białego, panujący nasi nie byli w ogóle namiętnymi zwolennikami turniejów. Igrzyska te były najzupełniej rycerskim popisem i nie miały wyłącznie romansowej barwy, którą odznaczały się w innych krajach. Z czasów Władysława Łokietka i Kazimierza Wielkiego, nie napotyamy nawet wzmianki o rycerzach odznaczających się w turniejowych szrankach. Władysław Biały, ten średniowieczny romantyczny rycerz w całym znaczeniu słowa, szukał sposobności popisania się w rycerskich szrankach na zagranicznych dworach. Dopiero po wstąpieniu na tron Władysława Jagielly nastąpiła u nas świetna doba turniejowych zabaw. Wtedy to spotykamy się z licznymi nazwiskami mężów, jak Dobiesława z Oleśnicy, Mszczuga ze Skrzynna, Zawiszy Czarnego z Garbowa, Domarata i Jakóba z Kobylan i wielu innych, którzy dowodami zręczności i siły w turniejowych szrankach, wzbudzali podziw zagranicznych rycerzy. (d. c. n.)

PUSTKOWIE.

Ani drzewa na którym wiatr wygrywać umie,
Ani zdroju, co skargę w cichym kryje szumie,
Ani gwiazdy patrzącej z poza krzewów sieci,
Ani ptaka, co z pieśnią do kochanki leci,
Ani słońca umarłych za krepą obłoku
Nie dojrzyś tu, w półświatle jesiennego zmroku.
Ciemna, pusta równina. Gdzieniedzie, na ziemi
Głaz się bieli chwastami zarosły dzikimi.
Gdzieniedzie przebiegają myszy rudowłose,
Lub wilgotna ropucha czołga się na roś; [głosy:
Gdzieniedzie, do noonego podobna włóczęgi,
Pełźnie żmija w brunatne malowana pręgi,
A wśród zielska jęj oko tak polyska krwawe
Jak pierścionek z rubinem upuszczony w trawę;
Na środku, czarną masą wyrosły z poziomu,
Jak garb sterczy w ciemnościach dom — rączej [trup domu.

Straszna jest wrzawa bitwy, na którą się składa
Ryk armat potężniejszy niż ryk lwiego stada,
Trąb grobowe mruczenie, wrzask pijany ludzi,
Którym w piersiach szakałów drapieżność się bu- [dzi,
Rannych jęk, krzyk zwycięzców, i w krwawej [kałuży

Konających chrapanie. Straszny jest zgiełk burzy,
Kiedy przy deszczu światel i gromów ulewie
Druzgoeze puszcza olbrzymy: dęby i modrzewie,
Kiedy ze skał wierzeholka gniazda orłów zrzuca
I wyje, jakby miała psie lub wilecze płuca;
Kiedy ogniem wypala swój drogi koleje,
Oezerwienia się szalem, lży wściekłości leje,
Niebu grozi, tytanów uniesiona pycha,
A chwilami, bezsilna, mruczy i lka cicho—

O tak! straszną jest burza, konwulsya żywiołów
Ze sforą głodnych wiehrów idąca na połów;
W czarną ziemię, gdy sieje ludzi białe kości
O tak! straszną jest wojna, konwulsya ludzkości—
A jednak nad te siły, których grozę zmniejsza
Nadzieja, złote bóstwo, stokroć jest straszniejsza
I stokroć więcej złego wyrządza na ziemi
Cisza—upiór z ustami wiecznie zamkniętymi.
Ciszą jest przypływ morza gdy topi mileżące
Setki ludzi i siedzib rybackich tysięcy;
Ciszą jest ludzi—kretów fałszywa oświata
Gdy miny zakopuje pod budynek świata,
Ciszą zbrodnia nim chwyci żelazo zabójcze,
Ciszą rozpacz nim przejdzie w myśli samo bójcze
Ciszą grób.

Dom ten w mroku, na pustej równinie
Cichy jest.

Z piersi domu na zewnątrz nie płynie
Krzatających się ludzi szmer tak sercu drogi
Bez światel jego okna i bez gwaru progi;
Wróbla sennym świergotem nie przemawia strze- [cha,
Nikt nie śmieje się, pieśnią nikt nie budzi echa,
Nie słyhać szeptu starców ani krzyku dzieci;
Ściany mileżą, dach krokwi rusztowaniem świeci,
Drzwi wybite, podobne wyklutemu oku
Patrzą czarnym otworem w nieskończoność mro- [ku,
A z okien, na powietrzu rysujący koła
Wylatuje nietoperz.

Ach! pióro nie zdoła
Odtworzyć tej zepsutej grobu atmosfery,
Jaka wisi w tych miejscach; słowa ciasne sfery
Nie pomieszcza wielkiego boleści ogromu,
Co jak mgła z trzęsawiska, wstaje z tego domu
I kamieniem tęsknoty na serce opada.
Pióro ciemno rysuje, a słów barwa błada!
Tylko dźwięk, idealny tłómacz wyobraźni,
Co uciech obietnica, jak syrena drażni
A różami zakrywa ziemskiej drogi ciernie,
Tylko dźwięk, nerwów władca, potrafiłby wiernie
Ciałem sztuki przyoblec tę marę boleści.
Lecz musiałby wprzód zabić każdy ton co pieści
Każdy akord, co słodkim przemawia urokiem,
I jak mniszka welonem, zasłonić się mrokiem;
Lecz musiałby wziąć w siebie wszystkie smutku

Szmer, którym na mogiłach płaczą suche wrzosa,
Głos dzwonu, co za zmarłych modli się wiecz- [rem,
Jęk wichru łkającego w lochach pod klasztorem,
Nutę psalmów pokutnych, rzewne lzy sieroty,
Szept więźnia, co do murów przemawia z tęskno- [ty,
Cyprysów szum, puszcza wielkich ponure pacierze
Płacz dziecka, które anioł z kolan matki bierze
I wreszcie ten chór jęków, jakim w nocnej ciszy
Ziemia mówi do Boga...

Duch mój słyszy, słyszy
Tę olbrzymią melodyę, co do światów Pana
Płynie łaski prosząca i łzami zalana,
Słyszy ją, lecz powtórzyć napróżno się sili!

O Panie! czyżby dom ten, tak martwy w tej chwili
Nigdy nie znał dni jasnych, śmiechu i wesela?
Czyż zawsze był tak smutny, jak ascety cela?
Czyż zawsze był tak niemy, jak głaz na mogile?

Zaprawdę, nie! I on miał szczęścia rajskie chwile
I na niego blask siała jutrznia złotowłosa,
I nad nim gwiazd lampami płonęły niebiosa—

Bóg dał mu cząstkę siebie, bo wszystko stworze-
[nie
U tego ojca światów w jednaki jest cenie
Dopóki nie poblądzi i nie umrze w Bogu.

O! ileż razy pewnie na tym niskim progu
Młoda matka, w promieniach zachodniego słońca
Z niemowlęciem u piersi stawała marząca,
Kiedy wietrzyk na skrzydłach przynosił ję z pola
Żniwiarki pieśń żalosa, jak wieśniacza dola;
Kiedy róże w ogródku rosą operlone
Pochylały się w słońca gasnącego stronę,
Jakby rade mu były szepnąć: do widzenia;
Kiedy ziemia leżała w szachownicy cienia,
Który złotem przesiane rzuciły topole;
Kiedy zwolna wypływał nad ogród i pole
Księżyc, a przy nim mała, niby giemnek gwiazda;
Zapalała skrę srebrną; kiedy ptak do gniazda,
Dzień do morza, a pasterz wracał do rodziny,
Kiedy wreszcie na ścieżce zjawiał się jedyny,
Razem mąż i kochanek, i twarz uznojona
Uśmiechem opromieniał witać się z żoną,
Która mu korallowe nadstawiała usta...
O! ileż razy pewnie przestrzeń ta dziś pusta
Napełniała się ptaków i dzieci szczebiotem;
Ileż razy ją słońce obrzucało złotem,
Poranek mgłą, a rosa perlami drogiemi;
Ileż razy z tój płodnej, dziś półmartwej ziemi
Wyrastał kwiat czarowny, co przez długie chwile
Pięknością swą przywabił pszczoły i motyle;
Ileż razy w tych miejscach dwoiła się w echu
Nuta cichych pacierzy i głośniego śmiechu...

Wtenczas, dom ten zakryty lip kwitnących wian-
[kiem
Człowieka i natury czułym był kochankiem,
I świętych obrazami stroił izby swoje;
Wtenczas po jego ścianach pięły się powoje
A gołębie miłosnie gruchały na dachu;
W tenczas, cały się kąpał w rezedzy zapachu
I cały się rumienił w lunach letniej zorzy;
Blasku pełny był wtenczas, anielski i boży—
A dziś...

Spytaj pasterza czemu, gdy zdalaka
Przyjdzie tu ze swém stadem, czempredź ucieka
Jakby mu w oknach pustki szkielec mignął z kosą;
Spytaj Wiochny, dzieweczka z główką złotą-
[włosą

Czemu, kiedy znęcona fijołków zapachem
Aż tu po nie zabłądzi, cofa się z przestrachem,
A twarz ję tak się mieni i serce tak bije,
Jakby na jadowitą nastąpiła zmię;
Spytaj swego woźnicy, czemu pełen trwogi
Żegnając się, z pospiechem mija dom złowrogi
I słowami modlitwy nieszczeście odgania;
Spytaj— z tajemniczego ich opowiadania
Dowiedz się, że w tym domu, co mrokiem na-
[kryty
Ziemi świętą pierś kala jak grzyb jadowity,
Gnieźdzą się wiedźmy z lasu, upiory z emen-
[tarza.
Wszystko, co noc natury z ducha nocą stwarza.

O muzo! gdy ten obraz kreśliłaś przedemną
Ból z méj piersi w westchnieniu wybiega głę-
[bokiem
I dusza chmurą smutku zachodziła ciemną.
Bo myślałem w burzliwej uczucia rozterce
I głąb' ducha badawczém rozwidniając okiem:
Że ten pusty dom, puste wyobraża serce!

Wiktor Gomulicki.

HEROD-BABA

OPOWIADANIE DZIADKA

spisane przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 12).

— Kiedy tak! zawołał do stryja—kiedy tak—
nie będę się jejmości naprzykrzał, ale krok w krok
za wami jądę, to też pewno nie ustąpię...

Mówił to jednak w pierwszej gorączce, z któ-
ręj zaraz ochłonął... Zawrócić nie myślał, kazał
tylko ludziom w tyle pozostać. Wojewoda po-
jechał przodem, za nim wyszła później kolebka
pani Zygmuntovej. Trzaska tak marudził, że go
Borodziej napędził. Nie znali się z sobą, ale
dwóch szlachty w drodze... na popasie, żeby nie
pogawędzili—chybaby poniemieli. Spytał Trzaska
nie mówiąc Borodzieza, czyby tój pani
przodem jadącej nie znał? Pan Gracyan z razu
udał, że nie wie jakiej, potem niby się dowiedziaw-
szy o kim mowa, rzekł obojętnie, iż ją niekiedy
widywał.

— Kobieta piękna—rzekł Trzaska, mąż łaj-
daczyna, a ona taka pono sróga, że i patrzeć na
siebie broni.

— Hm, dodał Borodziej—to tylko wiem, bo
w sąsiedztwie mieszkamy, że czeigodniejszej ani
zacniejszej pani nie znam. Surowa to prawda
i *hic mulier*, ale ję to przystało... bo tój pani
wszystko do twarzy...

— To prawda! z uniesieniem dorzucił Trzaska:
jeszczem takiej jakem żyw nie widział. Można
dla nię oszaleć.

— A zkadżes to pan z nią znajomość zroził?

— W drodze poznałem...

Poczęli tedy chórem oba słać w nią piękność,
a jeden przed drugim nie przyznał się weale, że-
by umyślnie za nią jechał... Borodziej nawet
prędko się powstrzymał, zostawiając towarzyszo-
wi pole swobodne do uniesień i pochwał.

Mówili potem o mężu, o którym coś dobrego
trudno było powiedzieć... Cała rozmowa wszak-
że tak prowadzona była, iż się żaden z tajemnicą
swą nie wydał. Ale, jadąc razem weselęj było,
i wyminąć się trudno... połączyli się tedy. Trzaska
badał Gracyana po co jechał tak daleko, ten go
nawzajem macał—zbyli się oba ni tēm ni owēm.
Jechali w trop prawie za kolebką, oba jednak
mierząc się tak, aby się ję widzieć nie dawali
oba też noclegów i popasów szukali zawsze tak-
kich, aby się z panią Piętkową nie stykać.

Dziwna rzecz, że zdradzając się oba co chwila,
weale się nie posądzali, o to co ich za piękna
panią prowadziło... Ani im to oczu nie otwo-
rzyło, że się zastosowywali do sposobu podrózo-
wania kolebki, którą dobrzeby wyprzedzić byli
mogli. Tak posuwając się przez Szlązk, dojecha-
li do granic Saksonii, i krajem dosyć z razu smę-
tnym, potem coraz gęściej zaludnionym i żyźniej-
szym, dojechali do upragnionej stolicy... Gdy
się im Elba i ję zielone ukazały brzegi, oba
westehnęli myśląc co też tam ich czekało. Bor-
dziejowi nie szło o nic więcej, oprócz by się mógł
przydać na co, ręką, workiem lub głową. Trzaska
sam dobrze nie wiedział, po co się jechał
uparł, gdy mu się pokazywać zakazano. Wlókł
się jednak markotny... Przecież w ulicy, w ko-
ściele... gdziekolwiek bądź spojrzeć mu nikt bro-
nić nie mógł, pokłonić się, a choć z daleka dowie-
dzieć co się działo z mężem jejmości. Stolnikie-
wicz bez zgryzoty sumienia życzył mu skręcenia
karku, aby natychmiast o piękną wdówkę pójść

w konkury. Dalipan niezego innego nie wart,
kiedy takiego klejnotu szacować nie mógł.

Dwór wojewody i kolebka pani Piętkowej tak
wyprzedziły naszych obu kawalerów, iż wjehaw-
szy w miasto, śladu już ich tu nie znaleźli i do-
pytać nie mogli. Trzaska szukał sobie wymysl-
niejszej gospody, Borodziej skromnej a tanięj,
rozdzielili się więc *ad videndum*, jeśli się szczęśli-
wie spotkać uda. Miasto naówczas całe nie było
rozległe, ścisłały je stojące jeszcze do koła mury
dawne obronne, po za którymi ciągnęły się przed-
mieścia i ogrody. Całe życie i ruch skupiały się
niemal około królewskiego zamku i powiązanych
z nim budowli. Tu mieszcili się faworyci, dygni-
tarze, panie dworu, urzędnicy i liczna służba
dworska lub to co ję służyło. Właściwie miasto
o tyle żyło oddychało i poruszało się, o ile żył
i ruch mu nadawał dwór, będący wszelkiego ży-
wota ogniskiem. Gdy ten wyjeżdżał, spała stolica
i chodziła nie ubrana. Za to każda wesołość
pańska, bal, uroczystość, zjazd, wstrząsały całym
miastem i dawały się czuć aż na jego kończynach.
Ogromne dworu wydatki odżywiały nieco kraj
niezmiernemi obciążony brzemionami opłat i po-
życzek, z których jednak znaczniejsza część szła
za granicę za przedmioty zbytku, za wykwinne
fraszki, za grzechy polityki i fantazyje dyploma-
tyczne bez skutków.

Ubożały miasta i cała Saksonia wycieńczona
bolala na pomnażającą się nędzę, lecz za to mało
gdzie w Europie na najświetniejszych dworach
panował taki zbytek, tak niesłychany przepych
jak tutaj, a co było w laskach, bogaciło się skan-
dalicznie, rosło w oczach, i rywalizowało wy-
kwintnością z królem samym. Wytworny smak
był pieczęcią wyższości duchowej owego czasu;
każdy dostojniejszy dworak potrzebował mieć
galeryę obrazów, zbiór antyków, złoczone meble,
gobliny, chińską porcellanę, a jeśli się na tēm nie
znał, udawał upodobanie, amatorstwo, znajomość.
Niepolicone summy szły na to, na stroje, na
uczty lukullusowskie i dary pięknym oczom, któ-
rych część należała do oznak dystynkeyi.

Vitzthum nie mógł w tēm ustąpić królowi, a póź-
niej Brühl mierzył się we wszystkiem z Augu-
stem III. Obyczaje dworu przechodziły do klass
niższych, i podróżujący Baron Pollnitz zapisał
tę uwagę w pamiętnikach swoich, iż saskie miesz-
czanki a nawet służące siliły się, by zewnątrznie
przynajmniej na wielkie panie wyglądać.

Trwonienie grosza nie zapracowanego, pochwyc-
conego łatwo, ronionego bez żalu, odbywało się
z lekkomyślnością niezrównaną. Życie też w sto-
licy dla tych, co się w jakikolwiek sposób z dworem
stykali było niezmiernie kosztownem i wielka
ruina fortun szlacheckich i pańskich, która się w tēj
epoce rozpoczęła, tēm się właściwie tłumaczyć
powinna. Wszystko się musiało robić pieniędzmi
lub podarkami albo ugoszczeniem monarchicznem
i zbytównem, w którym popłacało szczególniej
co z daleka z trudnością i drogą zdobywać się
musiało. Z Polski do Saksonii udawali się w wię-
kszej części tylko ci, którzy mieli o czēm sprawy
swoje popierać, występować tu i żyć tak długo jak
wymagały sprawy ciągnące się bez końca. Jed-
nakże niejeden mnię zamożny szlachcic dążył
tu za swym możniejszym protektorem; przez kó-
rego coś się spodziewał wyrobić sobie i otrzymać
drużdy jechali do familij które przy dworze mia-
ły obowiązki i w Dreźnie zamieszkiwały. Wszel-
kiego więc czasu był tu napływ przybyłych, i nie
zbywało na gospodach dla nich.

W ulicy przy zamku, w starym rynku, przy
nowym, na Wilsdrufferstrasse, w okolicy Kur-
landzkiego domu były zajazdy obszerne, do
ówczesnych potrzeb zastosowane, bo każdy pro-

wadził z sobą tabór wozów, koni i służby. A im ten większy był, tém dostojniejszą oznajmował osobę. Ale ubodzy mieścili się na przedmieściach, w domach, które nawykły czasowo otwierać się dla podróżnych i dla zysku chętnie się im nastreżwały.

Stryj Eligi, zasiedziały i zaśnieżony wieśniak, z trudnością dawał sobie rady w obcym a większym mieście; nieumiejętność języka przerażała go, poglądał zawczasu po strojach, aby pierwszego lepszego ziomka wziąć za przewodnika, gdy w Georgenthor około zamku zobaczył stojącego jakby na czatach Rzesińskiego, marszałkującego przy wojewodzie. Znali się już z drogi... Rzesiński był wesóły i bardzo obrotny chłop, z wąsami do góry, jakby mu do oczu strzelać chciały. Zobaczywszy kolebkę, przypadł do niej z ukłonem.

— Przewidywałem, że państwu nie łatwo będzie o gospodę dopytać, stanąłem więc na przesmyku, zawołałem, proszę za mną... izby — są z a m ó w i o n e... stajnie porządne, a ludzie usłużni i służba język nasz zna...

Tak szczęśliwie trafili nieopodal od zamku do polskiej gospody, na podziw porządnej i czystej, w której jejność po znuzeniu podróżnym spocząć mogła wygodnie.

Znać też tu było z rozporządzenia się Rzesińskiego, że i wojewoda do téj samój zajechał. Elżusi dano izby duże z oknami w ulicę, co też niemałą było przyjemnością, bo i miasto i mieszkańców jego zawczasu choć z po za szyb poznać mogła... A że tędy była jedyna do zamku droga, co do niego ciągnęła, wszystko się jej pokazywać musiało. Gdy przybyli, dzień się już miał ku zachodowi, a była w zamku biesiada jakaś dla dostojnych gości ode dworu rakuzkiego przybyłych, więc paradnych koni, strojów, lektyk... jezdnych, napatrzeć się mogli dostatkim.

(d. c. n.)

WCZASY WARSZAWSKIE.

I. UTYLITARYZM.

Utylitaryzm, jak o tém wiedzą wszyscy co się uczyli języka łacińskiego, pochodzi od przymiot-

nika *utilis*, co znaczy *użyteczny*. Wyrazy zakończone na *izm* lub *yzm* znaczą i w naszym i w obcych językach pewny zbiór wyobrażeń religijnych, politycznych, etycznych, ekonomicznych lub naukowych. Tak też powstały wyrazy: Mozaizm, Chrystyanizm, Radykalizm, Konserwatyzm, Epikureizm, Ascetyzm, Merkantyizm, Industrializm, Idealizm, Sensualizm i t. d. Do téj

molubstwa, że jedynymi pobudkami popychającymi nas do działania są: pożądanie przyjemności, a unikanie cierpienia. Z tego określenia widać, że już nie koniecznie użyteczność lub korzyść, ale osobista przyjemność jest celem i zasadą wszystkich naszych czynności, że bezinteresownych, niesamolubnych czynności być nie może, gdyż na dnie duszy można ujrzeć samolubstwo pomimo

wszelkiego rozprawiania o bezinteresowności naszego postępowania.

Chociaż ta zasada nie nowa jest na świecie, i chociaż tak mało zdaje się wpływać na bieg rzeczy ludzkich; jednakże po bliższym jej rozważeniu można się przekonać, że stała się ona panującą w naszym wieku, nie tylko w postępowaniu jednostek względem jednostek, ale i społeczeństw względem społeczeństw.

Starano się tę zasadę wywrócić dowodami naukowymi, wykazywaniem zgubnych następstw dla całej obyczajowej strony człowieka, pogardą nareszcie; ale to wszystko na próżno. Zasada przejęła wszystkie stosunki i jesteśmy na rozstajnych drogach. Jedni widzą w tym kierunku przepaść, drudzy bezpieczną drogę. Obawy ztąd jeszcze pochodzą, że Utylitaryzm nie jednakowo przez wszystkich jest rozumiany. Kiedy bowiem jedni biorąc dosłownie jego orzeczenie, wyprowadzają teoretycznie najzgubniejsze następstwa; inni łagodząc owo orzeczenie twierdzą, iż wszystkie pobudki naszego postępowania, lubo ochrzczone innymi nazwami, dadzą się sprowadzić do utylitaryzmu t. j. dobrze zrozumianego własnego interesu, inaczej do samolubstwa. Zobaczmy to na kilku przykładach.

Ci, co mówią, że czynności nasze lubo nie wszystkie pochodzą z daleko wyższych pobudek, niż własna korzyść, samolubstwo, przytaczają takie wypadki: Czyż ojciec lub matka odejmując sobie od ust, by dziecko nakarmić, działają z pobudek przyjemności? Przecież głód, którego nie zaspokoili, nie jest im przyjemny ani korzystny. Przeciwnie, odpowiadają utylitaryści: zadowolenie, które nazywamy moralnym, było w tym razie silniejszą pobudką niż głód — i dla tego, że im było przyjemniejsze niż nieprzyjemność z głodu



Madonna drezdeńska, Holbeina.

(67).

samój kategorii liczy się i Utylitaryzm. Tak więc czytelnik już wie, że Utylitaryzm jest zbiorem pewnych wyobrażeń, ale może jeszcze nie wiedzieć do jakiego rodzaju liczą się te wyobrażenia i czego one dotyczą. Bacząc na znaczenie wyrazowe, domysła się, że to są wyobrażenia mające związek z użytecznością. Lecz znaczenie wyrazowe w tym razie jeszcze mało uczy; dla tego uprzedzając domysły, powiadamy, że Utylitaryzm jest takim systematem obyczajowym, który uczy, że wszystkie nasze czynności wynikają z sa-

pochożąca, wybrali je, ulegli przyjemności, która jest pewnym rodzajem korzyści.

Ale oto inne przykłady: Uczony o głodzie i chłodzie siedzi nad kamieniem lub księgą, misjonarz opowiada wiarę z narażaniem się na śmierć lub męczarnie, żołnierz ginie dla honoru chorągwi, obywatele składają ofiary na wychowanie młodzieży, siostry szare pielęgnują chorych darmo po szpitalach i t. p. Gdzież tu osobista korzyść, ów interes dobrze zrozumiany? Czyliż ten interes nie nakazywałby raczej uczonemu postarać się o chlebobajne zatrudnienie, misjonarzowi zostać na wygodniejszej misji we wsi lub mieście, żołnierzowi uciec z pod prażenia działowej strzelby? Czyliż pobudką do tych czynów nie jest poświęcenie? Tak, odpowiadają utylityści, poświęcenie. Ale czyż to poświęcenie sprawia im nieprzyjemność? Przeciwnie, wybrali tę drogę działania, bo jednego popchnęła na nią chęć sławy, drugiego nadzieja lepszego życia, trzeciego wysokie cenie honoru, innego próżność rodzająca zadowolenie. Wszyscy oni obrachowali, że idąc tą drogą a nie inną, *lepiej* dla siebie zrobią. Mogli się pomylić w swojej rachubie, ktoś zdaleka na nich patrzący, może ich zaliczać do całych lub ćwierć-waryatów, ale z tym wszystkiem chodziło im o to, co w ich wyobrażeniu zdawało się im lepszym, co im sprawiało większą przyjemność natychmiastową lub spodziewaną.

Wszakże nietylko pojedynczy ludzie w swoich czynnościach powodują się większą lub mniejszą dozą przyjemności; lecz i społeczeństwa. Zawierany np. traktat handlowy lub polityczny, tak zwykle bywa układany, by stronom przyniósł jak największe korzyści. Pomoc niesiona przez Francję Włochom, byłaż dla idei czy dla interesu dana? Wyprawy krzyżowe były tylko wynikiem gorącej wiary i chęci odzyskania grobu Zbawiciela? czy raczej wynikiem chęci sławy przez książąt a wyswobodzenia się z długów i niewoli ludu pospolitego? Naiwnym jest i nie zna ludzkiej natury, kto na dnie wszech czynności pojedynczych lub zbiorowych nie widzi samolubstwa, przyjemności, czyli dobrze, a czasem źle zrozumianego interesu. Tak mówią utylityści, a to ich mniemanie opiera się na znajomości natury ludzkiej.

Otóż na tę znajomość natury ludzkiej powołują się wszyscy, a jednak każdy w niej co innego upatruje, i podług tego co widzi, kreśli drogę postępowania dla całego rodzaju ludzkiego. Jak płoną zdaje się być nadzieja, że kiedyś będzie-

my mogli wszystkie tak zwane siły fizyczne sprowadzić do jednej, do monizmu; tak płytkie jest zdanie, jakoby czynności człowieka z jednej pochodziły pobudki. Dla tego i utylityści redukujący wszystkie pobudki czynności ludzkich do samolubstwa, czynią to dla nieznajomości natury ludzkiej. Bo jeżeli prawdą jest, że każdy nasz czyn jest wynikiem mnóstwa sił działających w organizmie fizycznym, wyobrażeń nabytych lub wyrozumowanych, wspomnień, okoliczności chwilowych do działania nas popychających; toć nie można go przypisywać jednej pobudce.

Nareszcie utylityzm i tём grzeszy, że nie daje ogólnej zasady postępowania, lecz zostawia każdemu do woli co on uzna za dobrze zrozumiany swój interes. Otóż wiadomo, że każdy może inaczej pojmować swój interes, i każdy będzie się nim zaslaniał, nawet wtenczas gdy o cudzy interes zawadzi. Dla tego pośród rozmaitych zasad etycznych, jakie uczeni wymyślili, piszący jest zdania, iż stara chrześcijańska zasada: „Nie czyn bliźniemu co tobie niemiło” jest jeszcze najpewniejszą drogą postępowania i dla ludzi i dla społeczeństw. Prawda, że ta zasada spowszedniała,

i nie brzmi bardzo uczenie; jednak jest i trwała i zbawienna. Ten ją pojmuje, kto się przekonał, że złe wyrządzone człowiekowi przez człowieka, społeczeństwu przez społeczeństwo, zawsze znajdzie odemszczenie, albo na tych, co złe uczynili, albo w odleglejszej przyszłości. Historia rodzin i państw składa na to dowody tak stanowcze, że przeczenie jest niepodobne.

Jakkolwiek więc podług nas samolubstwem niepodobna tłumaczyć wszystkich czynności ludzkich; na to jednak zgodzić się trzeba, iż czasy nasze rozwijają się przeważnie według teorii utylitarnej. Liczy ona znakomitych przedstawicieli uczonych jak Hume, Bentham, Smith, Mill. Hołdują jej narody takie jak Amerykanie (północni), Anglicy, Niemcy i inne, śmiejąc się z tych którzy mówią, że się powodują poświęceniem, że żyją dla idei, że działają dla jakiegoś dobra ogólnego. Hasłem czasu jest: każdy u siebie i każdy dla siebie. Rozumieć to hasło warto i trzeba, żeby się złudzeniom nie oddawać i nie być jak pospólstwo mówi, wystrychniętym na dudka. Można to hasło zbijać, można z tej maxymy wyprowadzać wiele dolegliwości trapiących ludzi, jak walka pracy z kapitałem, pauperyzm, demoralizacya; ale zwrócić społeczności z tego toru nie tak łatwo. Złe musi w sobie znaleźć lekarstwo, to jest następstwa pewnych zasad muszą doprowadzić ludzi do ich zmodyfikowania lub porzucenia. Z tём wszystkim to jest faktem bijącym w oczy, że ludzie założyli sobie osiągnąć największą sumę szczęścia, i to postawili za cel wszelkich usiłowań i za zasadę postępowania.

Krupiński.



Madonna darmsztadzka, Holbeina.

(68).

Wprawdzie utylityści biorąc w rachubę wyliczone tu okoliczności, twierdzą przecież, że wszystkie dadzą się zamienić na to co nazywamy przyjemnością, korzyścią lub własnym interesem. Żeby zaś tej zamiany i redukcji można było dokonać, to wcale nie jest dowiedzionem. Owszem możnaby dowieść, że na czyny nasze oddziaływa i własny interes, i poświęcenie, i sława, i wyobrażenia o tём co jest lepszym lub korzystniejszym. Mogą te pobudki działać czasem w większej, czasem w mniejszej ilości, ale niktby nie dowiódł, że tylko jedna z nich spowodowała pewną czynność.

Wystawy zgromadzonych na jeden punkt prac jednego artysty, czy to zaraz po śmierci jego

DWIE MADONNY HOLBEINA.

Wystawy zgromadzonych na jeden punkt prac jednego artysty, czy to zaraz po śmierci jego

urządzone, jak była kilkanaście lat temu Delaroché'a, a przed kilku laty Ingres'a, w Warszawie zaś trzy lata temu Simlera; czy też w parę wieków, jak zeszlóroczna Holbeina w Dreźnie, są bardzo nauczające. Mają one znaczenie równoważne systematycznie ułożonemu wedle historycznego następstwa zbiorowi obrazów, gromadzących owoce kilkowiekowego rozwoju i postępu sztuki:—na pojedynczym człowieku prawideł tego rozwoju uczyć się możemy równie dobrze jak na szeregu pokoleń.

Zeszlóroczna wystawa obrazów, rysunków i rycin Holbeina urządzona w Dreźnie zaciękała też cały świat artystyczny, a kto mógł postarał się widzieć ją; szczególnie niemieckie ciało artystyczne było w poruszeniu z powodu tej uroczystości obchodzonej na cześć jednego z dwóch luminarzów malarstwa XVI wieku. Starano się zgromadzić wszystko co się dało, aby wystawę uczynić jak najzupełniejszą. Z wdzięcznością wspominają tu dziennikarskie sprawozdania łaskawą przychylną królowej angielskiej, która ze swych prywatnych zbiorów udzieliła niemalże liczby własnoręcznych rysunków tego artysty, szczytającego się niegdyś osobistymi względami srogiego Henryka VIII, na którego dworze długie lata przebywał. Szwajcaryi przeciwnie dostały się gorzkie wyrzuty za to, iż ze swych bazylijskich zbiorów nie udzielić nie chciała,—wyrzuty niesłuszne dziś zwłaszcza, w czasach panującej w Niemczech mody aneksyjnej, a tym mniej usprawiedliwione, że lat temu kilkanaście w czasie pośmiertnej wystawy obrazów Delaroché'a w Paryżu saskie miasto Lipsk ze swych zbiorów miejskich nie chciało na tę wystawę udzielić obrazu tego artysty przedstawiającego Napoleona I-go w Fontainebleau, zadumanego nad swym upadkiem po sprawie z pod Watterloo.

Koniec końców wystawa stanęła, była zdumiewająca liczebnie, było bowiem wszystkich przedmiotów przeszło czterysta, licząc w to rysunki i ryciny na drzewie współcześnie wykonane, Holbein bowiem w ogóle stosunkowo do swego ogromnego talentu mało malował, szczególnie też w Niemczech, gdzie świeżo po reformie religijnej sztuki prawie: nie było, a tym mniej takich jej lubowników, którzyby nie myśleli więcej o współzawodnictwie elektorów z cesarzem niemieckim, niż o malarstwie; ztąd powód długoletniego i prawie wyłącznego pobytu Holbeina w Londynie.

Istnieje jednak kilka prac wiele znakomitych w niemieckich zbiorach; do tych należy w Dreźnieńskiej galerii portret Tomasza Moretta, wymalowany prawie tak doskonale jak Tycyanowskie, i owa sławna Madonna, chluba Niemiec i Dreznia, której rodacy Holbeina nie wahają się stawiać na równi z Rafaelowską Sykstynią lub wyżej od niej. Tego sporu rozstrzygać tu nie będziemy; napomniemy tylko o zasadowej różnicy pojęć, z których pomysły wypłynęły. Obraz Rafaela jest ołtarzowym modlitewnym; niemieckiego zaś malarza po reformacyjnego Madonna jest obrazem wotowym domowym, zamówionym u niego przez burmistrza Bazylei, oddającego w pobożnym rozmyślanu siebie i rodzinę swą na malowidło wyobrażoną, opiece Bożej Rodzicielki.

Obraz Holbeina jest istotnie dziełem znakomitą tak dalece, że szkoła włoska nie tylko nie powstydziliby się gdyby do jej historii sztuki należał, ale może pragnęłaby w swoim czasie, aby ten duch czystej a prawdziwej nabożności, jaki z tego obrazu powiewa, nie opuścił jej był ze śmiercią Rafaelów i Dominichinów.

Zkąd się wziął drugi obraz, zupełnie podobny do tego, o którym mówimy? i dla czego książkowe tylko, przez badaczy sztuki wdzierających

się do zbiorów, rozpuszczane wieści, jakie o nim dochodziły do tej pory, zagnała przeszłorożną wystawę w spokojnym Dreźnie zamieniły na gwarliwą giełdę, prawie na szranki stawających do boju średniowiecznych turniejowych rycerzy?

Oto po wielu zbiorach drobnych dworów niemieckich znajdowało się aż do czasu ich medytacji lub zupełnego zniknięcia panujących, niemało areydział pod ścisłym nadzorem marszałków i zazdrosnym kluczem wyłącznych posiadaczy. Wszakże ledwie parę lat temu po raz pierwszy ujrano w otwartym dla publiczności zbiorze hessko-kasselskim przesławne malowidło Rembrandta, portret jego żony czy córki, o którego istnieniu nikt prawie nie wiedział. Podobnym sposobem wynurzyła się też z Darmstadt do Dreznia przed szerszą publiczność nieznaną prawie, bo tylko w sporach literackich wzmiankowana Madonna Holbeina, i stanęła na wystawie obok współzawodniczki o uznanęj i rozgłosnej sławie.

Zaciekawienie było powszechne i pociągnęło za sobą natychmiast podział rodaków Holbeina na dwa obozy, które my, jako wcale w tym sporze nieinteresowani, możemy sobie od razu nazwać: jeden obozem zbieraczy starożytników i historyków sztuki, w których gronie spotykamy poważnego Lübkego, drugi obozem artystów, mieszczącym w sobie sławne nazwiska Schnorna z Karolsfeldu i Schradera.

Spór o autentyczność dwóch Madonn, jak powiedziałem, nie był gołosłownym; skończył się wprawdzie bez krwi rozlewu, pozostały jednak z niego dwa dokumenta, nie wniesione zapewne do żadnych akt grodzkich, ale za to wymotywowane i wydrukowane z podpisami w wielu czasopismach i dziennikach.

Dokument pierwszy opiewa, iż egzemplarz darmsztadzki jest bez zaprzeczenia prawdziwym i przez Jana Holbeina młodszego wykonanym, przyznaje pewne poprawki, uszkodzenia powstałe na głowach i rękach i utrzymuje, że dreźnieński jest wolną kopią pierwszego, w której niepodobna dopatrzeć się ręki Holbeina.

Na tak kategoryczną odprawę odpowiada dokument drugi w sposób wymotywowany: iż uznaje obraz dreźnieński za powtórzenie, wykonane atoli ręką samego mistrza, albowiem on tylko mógł być w stanie poczynić tak ważne odmiany w rzeczach głównych, spowodowanych samą różnicą formatu, a zwłaszcza w proporcjach postaw. Wyższy nastrój idealny panujący w dreźnieńskim obrazie, a zwłaszcza w twarzy N. Panny, czyniący dzieło to najszczytniejszym w sztuce niemieckiej, mógł wyjść tylko z pod ręki samegoż twórcy obrazu. Obraz zaś darmsztadzki znajduje się w stanie zniszczenia werniksem i pełen przemalowań, po których usunięciu dopiero będzie można sądzić czy jest istotnie oryginalnym.

Na obudwu dokumentach jest data wrześniowa roku 1871. Przy takiej stanowczości stron obudwu, musimy się rozejrzeć nieco w rycinach przedstawiających te dwa obszary. Różnice są istotnie znaczne w układzie i proporcjach. W dreźnieńskim wsparcie łuku sklepieniowego na pionowych podślupkach niewątpliwie piękniejszym jest, wyraz modlącego się burmistrza bez porównania głębszy i idealniejszy, a proporcje stokroć lepsze, gdy w darmsztadzki wielka jego głowa i niska postać zdaje się być w ziemię zaklesną. Wykończeniem szczegółów różnią się też oba obrazy, różnica zaś jest dziwnego rodzaju, niektóre bowiem części w jednym są drobiazgowiej skończone niż w drugim i na odwrót—jak to na kobiercu i ozdobach

sukni młodej dziewczyny kłęczącej po prawej stronie dostrzedz można. Oprócz tych odmian znaleźć można także swobodne zupełnie zmiany i polepszenia dreźnieńskiego egzemplarza w fałdach ubiorów, np. rękawa N. Panny, rąk burmistrza bardziej z powodu przedłużenia proporcji wysuniętych z za pleców syna i wiele innych.

Spór został nierozstrzygnięty dla tych, którzy nie umieją wybrać pomiędzy istotną skromną słusnością, a zarozumiałym narzucaniem zdania; naturalnym jednak biegiem rzeczy wynurzyła się z niego kwestya kompetencji w sądzeniu dzieł sztuki, którą jeden z członków komitetu wystawy Holbeina na zakończenie swego o tym sporze sprawozdania, zamyka tém nieco rubasznie, niemniej jednak zdrowém zdaniem, gdy mówi: „Pomimo to, iż artyści przez starożytników (w tym sporze) tak stanowczo od znawstwa zostali odsądzeni, dopóty jednak ci pierwsi nie stracą nadziei być uznawanymi za właściwych w tych rzeczach znawców, póki w razie gdy wątpliwość będzie się ścigała do dobroci butów, strony sporne nie zaniosą ich wprzód do uczonego piszącego traktaty o starożytnych trepkach niż do szewca, i dopóki sędziowie w razach procesów dotyczących obrazów nieprzesną wzywać malarzów.”

Dodać tu możemy od siebie tyle jeszcze w tej materji sporu, iż gdyby właśnie nie ci panowie starożytnicy, kollekeyoniści, polujący bardziej na stare płótna i potoczzone od robaków deski niż na istotnie dobre malowidła, znający się lepiej na lewej stronie dzieł sztuki niż na prawej, i gdyby nie skojarzeni z nimi restauratorowie obrazów, z małemi wyjątkami, ludzie zarozumiali i roszejący sobie pretensję do poprawiania dawnych mistrzów, darmsztadzka Madonna Holbeina byłaby pewnie łatwiejszą do rozpoznania, bo mniejszą warstwą werniksów pokryta i mniej przez tych panów przemalowana.

PRZEGLĄD LITERACKI.

(Dokończenie. Ob. Nr. 12.)

Bożek Milion powieść przez Waleryę Marrené (Morzkowską). Warszawa, 1872. — Nemezys przez też autorkę. Niecnota, powieść p. Zbigniewa, 1871., Wychowanka, powieść ze stosunków galicyjskich z 1848 r., przez Alberta Gorowskiego. Kraków 1871. — Nieszczęsny Legat przez J. K. Turckiego. Poznań. 1871. — Opowieści stepowe p. Paulina Stachurskiego, Lwów. — Kraków przed czterdziestu laty p. Walerego Wielogłowskiego. (Wydanie pośmiertne), Kraków 1871.

Do autorów szkoły realistycznej należy p. Albert Gorowski. Dowodem tego jest powieść wydana w Krakowie p. t. *Wychowanka*. Naszkicowane tu są rozmaite postaci małomiasteczkowej biurokracji galicyjskiej z 1848 r. Nie można odmówić autorowi zdolności do odwzorowywania drobniutkich rysów codziennego życia i znajomości sfery, którą wystawia; lecz portrety jego nie mają owego kolorytu gorącego, który pochodzi od zamiłowania autora w swoim przedmiocie. Najniższe kółka towarzyskie, acz pełne przesądów i śmieszności, miewają wiele stron sympatycznych, prawdziwie ludzkich. Powieściopisarz nie powinien zapominać o tém; w przeciwnym razie nie przywiąże czytelnika do osób swoich, ale odstręczy. Dla czego *Kłopoty starego komendanta* czytają się po kilka razy z zajęciem serdecznym?—Dla tego, że autor otoczył utworzone przez się postaci miłością wielką, że każdą ekscentryczność i śmieszność podejmował z życzli-

ym uśmiechem na ustach, a czasami z rzewną za w oku. P. Gorowski nie lubi świata, do którego wprowadza czytelnika; wysydzia go i poniża na każdym kroku. Wszystkie niemal osoby skarykaturowane są u niego nielitościwie z ujmą prawdy powszedniej i estetycznej... W zbieraniu śmieszności autor posuwa się do takiej potworności, że śmierć drobnego urzędnika wystawia w świetle komicznym. Żona wyrzuca mu chorobę i zbliżającą się śmierć, prawi o sprzeciwianiu się jej woli, i żąda wyraźnie, aby wyzdrowiał. Mąż kiwa głową, prosi żony, ażeby się nie gniewała i obiecuje że wyzdrowieje. Chwila śmierci ma zawsze w sobie coś uroczystego: więc opis jej taki, jaki znajdujemy w *Wychowaniczy*, niesprawia zamierzonego przez autora efektu, t. j. nie śmieszylecz oburza. W innym ustępie autor powtórzył tenże sam błąd. Pani prezesowa dowiaduje się o śmierci narzeczonego swęj córki, i zamiast serdecznego jakiegoś wybuchu, mówi do rozpaczającej: — „Owa, co mi tam mówisz, ja wiem jak ja mam kogo nazywać! waryat jest i basta. Wiedział przecię, że tutaj prawie gotowa jest dla ciebie wyprawa, a pchał się niepotrzebnie między świszczypałów i dał się zastrzelić. Co ja tu miała z tą wyprawą zachodu, co ja miała zachodu! klócić się cztery dni o brukselinę z Iekiem... Joskówna nie chciała trzy *szejsze* opuścić na płótnie... Kulawy Berek pcha ci zleżały tybet pod rękę... kupuj... dawaj... z kieszeni dawaj—na co?.. albo ja wiem na co?.. może na głupstwo?.. na co się to teraz zdało?—na nie się nie zdało. Po wielkanocy miało być wesele... Odprawiaj wesele!.. gotowa wyprawa... Ot wszystko ci leży pod nosem... Idź za męża... no, idźże za męża... no czemuż nie idziesz?...” Tragiczne wypadki lwowskie wystawione są w świetle ohydnej orgii, w sposób istotnie oburzający.

W ogóle oprócz dwóch postaci szlachetniejszych, na chwilę tylko przesuwających się w powieści, wszystkie inne osoby są karłowate i brudne. Ciemnota, cheiwość i pokątna rozpusta są żywiołem przeważającym w *Wychowaniczy*. Austriacy oficerowie i urzędnicy szwargotem swoim i podbojami nużą śmiertelnie. Dwie najwydatniejsze postaci niewieście (kapitanowa i 16-letnia Julia) są brudne, pełne poziomych popędów i moralnej zgnilizny. Cechy pomienione uwalniają nas od szczegółowego rozbioru *Wychowaniczy*. Szkoda było talentu p. Gorowskiego dla takiej sprawy, bo jeszcze raz powtarzamy, że obiektywnej spostrzegawczości i zdolności chwytania charakterystycznych rysów wiele znaleźliśmy w *Wychowaniczy*. Język często wymaga tłumaczenia z galicyjskiego na polski.

Krótszą lecz serdeczniejszą wzmiankę poświęcamy powieści J. K. Turskiego p. t. *Nieszczęśliwy Legat*. Jest to moralny, zajmujący traktat w postaci powieści. Bohaterem jego jest człowiek, który zбочzył z kolei obowiązku i pracy w oczekiwaniu zapewnionego mu legatu. Myśl zasadnicza powieści—trzeźwa i zdrowa. Stanisław jest typem wielce charakterystycznym... Nie był to człowiek zły ani zepsuty, ale towarzystwo i wpływ nowych ludzi zaczęły go psuć i sprowadzać z drogi prostej na manowce i kręte ścieżki... Po wielu przykrościach i zawodach postanawia on czekać i przed czasem nie liczyć na swój majątek... I znowu zmiana... Zachowaniem się swoim zdradza najwyraźniej wstręt do wszelkiego stanowczego obmyślenia swojej przyszłości... W logicznym rozwoju manii swojej Stanisław dochodzi do strasznych myśli... „Jakże długo żyć będzie ta stara, spróchniała baba (dożywotnica)? Nigdyż nie umrze? Czekam już przecię dwa lata przeszło—a ona zdrowa, jak ryba—

i zdaje mi się, że co dzień zdrowsza. Ha! to przekłety legat!.. Oto ja szamocę się już rok trzeci—a jednak do niczego prawdziwej nie mam ochoty. Nauka, którą niegdys kochałem, jest mi dziś ciężarem nie do zniesienia. Ja się nie nie uczę. Nie nie umiem...” Stanisław przebiega wszystkie studia obłądu, manii, choroby, staje u przepaści występku, nareszcie pada ofiarą pieniężnej gorączki i umiera nie doczekawszy się śmierci dożywotnicy. Powieść jest napisana w kształcie sądowego sprawozdania, i nie daje recenzentowi materiału do estetycznego rozbioru: lecz jest to jeden z owych utworów obyczajowych, które czytelnikowi dostarczają zdrowego posiłku. Niepretensjonalny, naturalny, prosty,—podoba się.

Opowieści stepowe Paulina Stachurskiego, dedykowane piewcy dum stepowych, Bohdanowi, są obecnie anachronizmem. Szczególniejsze złudzenie panuje w tym względzie pomiędzy patentowanymi powagami literatury naszej. Dla nich Padura, Czajkowski i kilku innych są *wieszczami ludu*. Miejmy cywilną odwagę wyznać, że to są wieszczycze szlachty polskiej, osiadłej na Ukrainie... Wyznanie to oszczędzi nam wiele zarzutów... Kraina fantazyi do nas należy, ale rzeczywistość—bynajmniej... Byli i są poeci, etnografowie i historycy ukraińscy, ale my ich nie znamy. Nazwiska ich: Szewczenko, Marko-Wowczok, Neczuj, Kulisz, Nomis, Hanna Barwinok i wiele innych... Nie dość jest wyprowadzić na scenę kozaka dworskiego, charta i konia, ażeby mieć powieść ukraińską. Pan Stachurski jest naśladowcą Czajkowskiego. Opis Sieczy za nadto przypomina *Tarasu Bulbę* Gogola; romantyczna powiastka „Czartowa Góra“ lepiejby wyglądała po niemiecku.

„W papierach pozostałych po s. p. Walerym Wielogłowskim, zmarłym w r. 1865, znalazła się powieść pod napisem: *Kraków przed czterdziestulaty*, lecz niedokończona... Powieść ta, interesująca jak pamiętnik, przedstawia żywo i wiernie skreślony wizerunek ówczesnego społeczeństwa tworzącego jakby jedną rodzinę. Na tłem pogodnym tle przesuwają się zabawy publiczne, żywot domowy, towarzyski, a w dosadniejszych rysach scharakteryzowane niektóre domy i osoby, tęp droższe sercu Krakowian, że jak dzielily, tak dotąd dzielą wszystkie błogie i smutne koleje podupadłego grodu... Powieść wysnuta z prawdziwego lub prawdopodobnego zdarzenia, na tle krakowskich stosunków, wymagała tylko małego dopełnienia, aby utwór ten dla wielbicieli tak znanieńskiego talentu pisarskiego i tak zacnego a wysokiego sposobu myślenia straconym nie został... Dopełnienia tego jednym, niecałym rozdziałem podjąłem się jedynie z miłości ku zmarłemu, a razem z miłości dla jego pracy, aby ta nietylko nie była straconą, lecz owszem odświeżyła pamięć człowieka, który tyle uczuć i myśli, tyle wonnych kwiatów rozsypawszy za życia, jeszcze po zgonie darzy nas tym bławatkiem wyrosłym jakby na jego mogile.“

(Słowa wyjęte z przedmowy p. Lucyana Siemieńskiego).

Powieść Wielogłowskiego ma charakter anegdotyczny, często wodewilowy, lecz napisana jest dobrze i może posłużyć za wzór poprawnego stylu dla wielu dzisiejszych powieściopisarzy.

L. Sowiński.

KORESPONDENCYA.

Kraków, 1 Lutego 1872 r.

(ab) Szybkiemu uorganizowaniu akademii umiejętności w naszym mieście nie już teraz nie stoi

na przeszkodzie. Wczoraj właśnie telegraf przyniósł wiadomość, że cesarz sankcyonował statut tej instytucji, uchwalony przez tutejsze Towarzystwo naukowe i na pierwsze jej potrzeby ofiarował z prywatnej swęj szkatuły 20,000 zlr., nie uszczuplając przez to budżetu akademii, który 30,000 zlr. rocznie wynosić będzie. Jednocześnie protektorem akademii mianowany został brat cesarski, arcyksiążę Karol Ludwik, a jego zastępcą b. minister Alfred hr. Potocki.

Nie ulega zatem wątpliwości, że dalsze prace w celu utworzenia tej najwyższej u nas instytucji naukowej pójdą od tej chwili z większym pośpiechem, niż średnio biorąc, sprawy galicyjskie isć zwykły. Jesteśmy w przededniu żywej walki o krzesła akademickie. Lada dzień zaczną się starcia opinii, a że bez głośniejszej polemiki w gazetach nie się u nas załatwiać nie zwykło, więc i z tej strony spodziewać się możemy wielkiego ożywienia i ruchu, z którego nakoniec jak świat na świat *nos immortels*. Szczęście, że statut zatwierdzony obecnie, stawiając za warunek kandydatom na rzeczywistych akademików, ażeby udowodnić, że jakiś przedmiot naukowy wykładali z katedry, położył tamę niejednej ambicji; ułatwi to o wiele ukonstytuowanie się tego uczonego ciała, do którego, gdyby nie ten warunek, tłoczyłoby się za pomocą najrozmaitszych wpływów wielu takich uczonych, jacy się nieraz wiskają do innych akademii niezapatrzonych w podobne rogatki. O księciu d'Aumale, naprzykład, jednym z niedawno umiesmiertelnych we Francji, opowiadają, że zagadnął raz Gay-Lussaca: „Czy panu bardzo było gorąco, gdys odbywając podróż balonem, zbliżył się tak znacznie do słońca?“

Oprócz marzących o akademickich fotelach, jest jeszcze inna kategoria ludzi, którzy z niecierpliwością oczekują otwarcia akademii. Są to autorowie rozmaitych pomysłów naukowych, pragnący uzyskać sankcyę tej instytucji dla nowych myśli, jakie chcą wprowadzić w życie. Wielu takich nie naliczyć w Galicji, ale znajdują się przecię. Ręczę, że jednym z nich będzie Konstytynowicz, który oryginalnie swoją metodą uczył wschodniej i zachodniej Galicji ludzi dorosłych i dzieci, nie pracując nad każdym uczącym się z osobna, ale nad dziesiątkami i setkami razem. Nauka mimo to szła bardzo szybko i nauczyciel powielekroć dowiódł, że uczniowie jego z niej korzystali. Otóż nasza rada szkolna, po zbadaniu dosyć powierzchownym tej metody, oświadczyła, że jest ona odpowiednią tylko dla dorosłych, do uczenia zaś dzieci używaną być nie powinna, świeżo zaś zabroniła wyraźnie Konstytynowiczowi uczyć dzieci swoją metodą. Takie zdanie i taki zakaz, skoro tylko będzie wyższa od rady szkolnej instytucja w kraju, powinny przyjść przed jej *forum*, i trudno się spodziewać, żeby akademii umiejętności zatwierdziła ten zakaz, którego śmieszna stronę jedno z pism humorystycznych tutejszych pochwyciło i illustrowało bardzo dosadnie. Bo rzeczywiście jakaż kara ma spotkać tego nieszczęśliwego Konstytynowicza, który notabene od uczniów swoich nie bierze żadnej opłaty, jeżeli się uprze i pomimo zakazu nauczyć czytać jakie dziecko galicyjskie?... Czy to będzie uważane za dzieciobójstwo?... Dla czego temuż samemu Konstytynowiczowi byłoby wolno wykładać tym samym dzieciom, w jakich odczytach zastosowanych do ich pojęcia, teorię nieomyślności papieżkiej albo doktryny Darwina, a nie ma mu być wolno powiedzieć im, że *sz* wymawia się jak *sz*?...

Wszystko to są kwestye zasługujące także na bliższe zastanowienie się i rozebranie w naszym pedagogicznym świecie, który jednak, przez jakąś dziwną anomalię, prawie powszechnie cieszy się z tego zakazu, nie wchodząc w to, że gdyby Konstantynowicz swoją metodą nie mógł rzeczywiście nauczyć dzieci czytać, toby mu tego wcale zakazywać nie było potrzeba, tak jak nie zakazuje się tańczyć temu, komu amputowano obie nogi, a choćby nawet tylko jedną.

Zawadzilem o kwestye pedagogiczną, przejdę więc zaraz, nie szukając zgrabniejszego zwrotu, do nowości literackich, które się tu właśnie ukazały, a z których dwie wchodzą w zakres pedagogiki, jedna bowiem jest przeznaczona dla nauczycieli geografii, druga wyklada elementarne pierwsze zasady filozofii.

Autorem pierwszej z tych prac, niewielkiej rozmiarem, ale rzeczywiście bardzo pożytecznej i praktycznej, jest Dr. Daniel Wierzbicki, adyunkt tutejszego obserwatorium astronomicznego. Nosi ona tytuł: *O użyciu globusa* (dlaczego nie „globu?“) i podaje zbiór zagadnień, dających się rozwiązać za pomocą globu ziemskiego, który nauczyciele geografii zazwyczaj zaraz na początku kursu pokazują uczniom i objaśniają dość pobieżnie, a który później przez cały czas nauki pozostaje sprzętem bezużytecznym w bibliotece szkolnej. Broszura ta, wydana nakładem pana W. Tomaszewicza, zasługuje na jak najszerze rozpowszechnienie.

Pożyteczną również, jasno i przystępnie skreśloną książką jest *Propedeutyka filozoficzna* ks. Kautnego jezuitę. Jakkolwiek dzisiaj filozofia wchodzi na inne tory, nauka przecież myślenia i rozumowania, wyprowadzania wniosków z założeń, kombinowania i porządkowania myśli, cała matematyka filozofii, że się tak wyrażę, czyli logika w tém co jęj istotę stanowi, jedną i tą samą pozostać musi. Zelementarnego wykładu ks. Kautnego można się z jęj głównymi zasadami równie dobrze obeznać, jak z dzieł podobnie popularnych jakiegokolwiek innej szkoły; dla tego i tę książkę polecić mogę czytelnikom.

Czytelniczkom za to, jako w ogóle niezbyt lubiącym bawić się subtelnościami filozoficznymi, polecam bardzo dobrze napisane studjum Dra Adama Bełkowskiego p. n. *Gustaw i Werter*, wydane także przez p. Tomaszewicza, który, jak słyszałem, zamierza coraz szerzej swoją działalność wydawniczą rozwijać. W nader zajmujący sposób przedstawia tu autor paralelę bohaterów Mickiewicza i Götthego, i dowodzi, że nasz poeta, tworząc swego Gustawa, niezapomógł się bynajmniej u niemieckiego wieszca, że postaci stworzone przez nich obu wypłynęły wprost z życia każdego.

Scena krakowska, oprócz *Konfederatów* i *Walensteina*, o których już w poprzedniej korespondencji mówiłem, przedstawiła w zeszłym miesiącu nowości większego rozmiaru *On ne badine pas avec l'amour* Musseta, operę dwuaktową Kurpińskiego *Zamek na Czorsztynie*, a jutro daje po raz pierwszy dramat Weilena p. n. *Herabia Horn* w przekładzie p. Edwarda Lubowskiego. Jest teraz epoka benefisów, pierwsza z tych sztuk dana była zatem na benefis p. Hoffmanowej, naj-

znakomitszej artystki sceny krakowskiej, ostatnia na benefis znanego wam z gościnnych występów p. Bendy. Dramat Musseta, którego przekład drukował p. Lubowski w roku 1865 w *Wędrowcu*, (tutaj jednak przedstawiano tłumaczenie p. A. Błydowskiego świeżo dla naszej dyrekcji wykonane)—doznał bardzo dziwnego przyjęcia. Wprowadzenie na scenę księży z czasów Ludwika XV, myślących tylko o kufli i półmisku, oburzyło łoże,—niektóre osoby ostentacyjnie wyszły z teatru, na dowód swego niezadowolnienia,—galerya nie zrozumiała i znużyła się śmiertelnie, inteligentna publiczność uznała w sztuce to, czém ona jest rzeczywiście: znakomite studjum serca ludzkiego,—młodzież była zachwycona prawie. Z ogólnego wrażenia dyrekcya teatru, jak się zdaje, wyciągnąć musiała tę naukę, że nie przysła jeszcze pora w Krakowie na przedstawianie dzieł, do których ocenienia trzeba bardzo delikatnego smaku i wyrobionego estetycznego poglądu.

Dla benefisantki za to, przedstawienie dramatu, któremu w przekładzie dano tytuł *Ostrożnie z ogniem*, zapożyczony od J. I. Kraszewskiego, było prawdziwym tryumfem. Dzienniki tutejsze aż się dziwią, że Kraków zdobył się samoistnie na uznanie pierwszorzędnego talentu w artystce, która nie występowała nigdy na innych scenach i nie przywiozła sobie naprzykład z Warszawy, Lwowa lub Poznania gotowego rozgłosu i sławy. Jesteśmy tu oszczędni bardzo, jeżeli idzie o kosztowne oznaki zadowolenia dla artystów i artystek; mimo to, z okoliczności tego benefisu ofiarowano p. Hoffmanowej bransoletkę złotą ze stosownym napisem, co jako fakt u nas bardzo rzadki, jeżeli nie jedyny, zasługuje na zanotowanie.

Z innych nowości zagranicznych, o ile mi wiadomo, przedstawiona będzie wkrótce najnowsza komedia Dumasa syna p. n. *Księżna Jerzowa* (La princesse Georges), już przetłumaczona przez p. Błydowskiego, oraz jednoaktowa Wł. hr. Koziembrodzkiego p. n. *W jesieni*. Wkrótce także zapewne komisya konkursowa z nadesłanych 15 utworów uwieńczy dwa, a może więcej jeszcze zaleci do przedstawiania. Prace tej komisji postępują dosyć szybko. Przyjęto za zasadę, że nagrody konieczne dane być muszą, chociażby nawet żadna sztuka nie zasługiwała na epitet *dobrzej*. Miejmy nadzieję, że tej zasady zastosowywać nie będzie potrzeba, bo w każdym razie wiele by się dało przeciw niej powiedzieć. Pieniądze wyrzucone na nagradzanie lichot, nie odpowiadających najskromniejszym wymaganiom sztuki, a które także w braku lepszych mogłyby otrzymać premium, byłoby bezwarunkowo zmarnowaniem, a nadto taka nagroda byłaby niesprawiedliwością. Tak w szkole nauczyciel, któryby chciał koniecznie dać nagrodę najlepszemu uczniowi, choćby ten najlepszy był jeszcze próżniakiem i hultajem, byłby niesprawiedliwym, równie jak niesprawiedliwym byłby inny, któryby chciał koniecznie ukarać najgorszego, chociażby ten najgorszy był jeszcze pilnym i spokojnym. Są to jednak obawy teoretyczne tylko może, boć przecię na 15 utworów przynajmniej dwa znaleźć się muszą nie będące

potworami. Zaręczają mi nawet, że się takich znajdzie więcej,—niechże to sprawić raczy Melpomena i Talia na pożytek naszej sceny!

ROZMAITOŚCI.

— Na posiedzeniu kongresu archeologicznego w Petersburgu, pomiędzy innymi przedstawione były prace p. Skimborowicza, Petrowa, Szczegłowa i hr. Uwarowa. P. Skimborowicz zakomunikował niektóre szczegóły o starożytnościach w królestwie Polskim i okazał atlas starożytności sławiańskich który miał być wydany we Francji przez p. Savandy b. ministra oświecenia. W atlasie tym pomiędzy innymi zwraca uwagę podobna rysunku z XVI wieku przedstawiającego gilotynę. Rysunek ten znaleziono mianowicie w Kaliszu w tamtejszym kościele Katedralnym Ś. Józefa. P. Petrów odczytał obszerną pracę o mozaikach aż do czasów Piotra Wielkiego. P. Szczegłów w broszurze swęj „Pochodzenie Rossyan“ usiłował dowieść że Rossyanie są narodem pochodzenia fińskiego, który pierwotkowo zamieszkiwał brzegi Wolgi i niższej Oki. Hr. Uwarów mówił o posązku Swiatowita znajdującym się w muzeum krakowskim i o planach podług których wznoszono w Rossyi pierwsze kościoły z drzewa.

— Budowa katedry Kolońskiej postępuje naprzód chociaż bardzo powolnie dla szczupłości kapitałów. Główną południową wieżę wyprowadzono do wysokości 210 stóp i wykonano przygotowawcze roboty do rozpoczęcia budowy następnego to jest trzeciego piętra wieżowego. Z powodu rozporządzalnych w roku 1872 większych niż w latach poprzednich ofiar, roboty będą rozpoczęte na nowo zaraz z wiosną i mają być prowadzone tak energicznie by przed jesienią obie wieże osiągały wysokości 210 stóp to jest linii od której w ośmiościanie będą już szybko zwaćć ku się górze.



Pannie Helenie G. Wiersze bez tytułu jako nie zawierające ani myśli nowych ani też zalecające się formą, drukowane nie będą.

Panu A. L. z Gombina. Wiersz pod tyt. „Walka po ciemku“ drukowany nie będzie.

Autorowi debiutantowi z Monachium. Wiersze p. t. „W wieku przejścia“ i „Tylko bajka“ drukowane nie będą.

Panu Antoniemu Marcinkowskiemu. Pierwszy numer „Wieńca“ wysłaliśmy. Wiersz z podpisem Art. St. p. n. Ulga drukowany nie będzie.

Panu Wł. Fl. w Żytomierzu. Redakcja sądzi że uzalenie się męża który aż „na 35 arkuszach ścisłego druku“ spisuje historję zdrady swęj żony, nie będzie zajmować czytelników „Wieńca“ i dla tego nabycie rękopismu nie jest bynajmniej pożądanem.

Panu Rudolfowi Roż. Za uwagi tchnące życzliwością dla „Wieńca“ Redakcja uprzejmie dziękuje i spodziewa się że szanowny pan tak dobrze pojmujący warunki redagowania pisma, nie odmówi jęj swego współprawnictwa.

Treść: Niewiasty XIV wieku, ustęp z dziejów obycajów średniowiecznych, przez Wł. Chomętowskiego (c. d.). — Pustkowie, poezya Gomulickiego. — Herod-Baba, powieść J. I. Kraszewskiego (c. d.) — Wczasy warszawskie. Utylityzm Krupińskiego. — Dwie Madonny Holbeina. — Przegląd literacki, przez L. Sowińskiego (dokończenie). — Korespondencya z Krakowa. — Rozmaitości. — Odpowiedzi. — Ryciny: Wieniec. — Madonna dreźnieńska, Holbeina. — Madonna Darmsztadzka, Holbeina.